

Kiedy ZUS zbankrutuje?

netPR.pl

2009-12-03, ostatnia aktualizacja 2009-12-03 10:39



Niezależnie od tego jak ten czy następne rządy będą "reformować" system emerytalny, większość obecnych 20 i 30-latków zapewne nie zobaczy ani grosza z "odłożonej" przez siebie "składki emerytalnej". Te wszystkie cudzysłowy to właśnie efekt fikcji, przy pomocy której polskie władze mają obywateli. ...

Niezależnie od tego jak ten czy następne rządy będą „reformować” system emerytalny, większość obecnych 20 i 30-latków zapewne nie zobaczy ani grosza z „odłożonej” przez siebie „składki emerytalnej”. Te wszystkie cudzysłowy to właśnie efekt fikcji, przy pomocy której polskie władze mają obywateli.

Obecnie panujący w Polsce system emerytalny nazywany jest systemem mieszanym, kapitałowo-repartycyjnym. Oznacza to, że pobierany od każdej pensji podatek emerytalny (formalnie zwany „składką”) w jednej trzeciej trafia do Otwartych Funduszy Emerytalnych, a w 2/3 ląduje w ZUS-ie na „indywidualnym koncie emerytalnym” i finansuje wypłaty świadczeń dla obecnych emerytów. Z tymże cały system już teraz jest dziurawy i szybko nabiera wody – podatnicy dopłacają do Funduszu Ubezpieczeń Społecznych po przeszło 30 mld złotych rocznie.

Do tego dochodzi 16 mld zł dotacji do **KRUS**-u, czyli instytucji z której wypłacane są emerytury dla byłych rolników oraz 4,5 mld zł dla emerytowanych mundurowych pochodzących bezpośrednio z budżetów MON i MSW. Doliczając do tego rachunku górników, każdy podatnik do **emerytur** uprzywilejowanych grup zawodowych dopłaca ok. 1,8 tysiąca złotych rocznie.

Tak wygląda teoria, która z dodatkiem kilku upiększających przymiotników podawana jest do wiadomości opinii publicznej. Jednak istota systemu jest zupełnie inna. Otóż przyszła **emerytura** każdego z nas de facto wcale nie zależy od tego, ile do systemu włożymy. Tak naprawdę w ostateczności o wszystkim zdecyduje państwo. Rząd i parlament w każdej chwili mogą uchwalić ustawę zmieniającą zasady wypłat „świadczeń emerytalnych”. Przy czym właśnie milcząco przyjęliśmy założenie, że za 20-30 lat państwo polskie w ogóle będzie wypłacalne, co wcale nie jest takie pewne.

Z tego właśnie powodu wątpliwe są również pieniądze zgromadzone w **OFE**, które mają prawny obowiązek przynajmniej 60% swojego portfela trzymać w obligacjach skarbowych. OFE mają faktyczny zakaz inwestowania za granicą – są więc skazane na zaufanie państwu, że to wywiąże się ze swoich zobowiązań. Reasumując: nasze emerytury bazują tylko i wyłącznie na zaufaniu do państwa polskiego i do jego przyszłych władz. Kasa ZUS jest pusta, zaś portfele OFE wypełnione są obietnicami rządu, że ten za ileś tam lat wypłaci kapitał powiększony o odsetki z wyemitowanych obligacji.

Tyle że rządzący już teraz wiedzą, że cały ten system za 20 lat (lub może nawet wcześniej) całkowicie i permanentnie utraci płynność finansową. Obecny system jest bowiem klasyczną piramidą finansową i w swej istocie absolutnie niczym nie różni się od funduszu pana Madoffa. O ile jednak nowojorski finansista resztę swych dni spędzi w więzieniu, to kierujący ZUS-em wciąż są na wolności (z jednym tylko wyjątkiem). Jeśli więc w ciągu następnych dwóch dekad przez Polskę nie przetoczy się wojna, epidemia, klęska głodu lub inne tego typu nieszczęście, to państwo nie będzie

w stanie wypełnić swych obecnych zobowiązań wobec przyszłych emerytów.

Przyczyna tego faktu jest banalna i na imię ma demografia. Otóż obecnie w Polsce żyje 38,6 miliona ludzi, z czego 24,6 mln jest w tzw. wieku produkcyjnym (czyli w przedziale wieku 18-64 lat dla mężczyzn i 18-59 dla kobiet). W wieku emerytalnym znajduje się 6,3 mln ludzi. Ale na utrzymaniu ZUS-u i KRUS-u przebywa aż 8,4 mln obywateli (z czego 1,5 mln w KRUSie)! Ponieważ tylko połowa Polaków w wieku produkcyjnym odprowadza składki do ZUS (druga połowa albo nie pracuje, albo działa w szarej strefie lub wyemigrowała), to w 2008 roku „składki” odprowadzało zaledwie 14,8 miliona Polaków.

Na jednego emeryta przypada zaledwie 1,76 pracującego. Stąd legalnie zatrudnieni muszą odprowadzić 30% haraczu na rzecz ZUS-u, utrzymując przy okazji bizantyjską biurokrację, kosztującą jakieś cztery miliardy rocznie. Do tego dochodzą jeszcze koszty utrzymywania 35-letnich emerytowanych wojskowych czy policjantów, górników mających dość sił by rzucać kamieniami w jeszcze nieemerytowanych stróżów prawa oraz nauczycieli przemęczonych 18-godzinnym tygodniem pracy. A i tak, jak już wcześniej wspomniałem, cały ten system się nie domyka, a ZUS ciągnie tylko dzięki bankowym liniom kredytowym.

A teraz zróbmy rzecz dla naszych polityków niewyobrażalną i wykonajmy prognozę stanu rzeczy za 20 lat (to aż 5 kadencji sejmowych!). Otóż zjawiska demograficzne mają tą przewagę nad np. trendami giełdowymi, że dają się bez większych problemów przewidzieć na 20 lat do przodu. Bowiem ludzie, którzy mają płacić na emerytury obecnych 40-latów właśnie się urodzili lub chodzą do przedszkola. Tyle że przedszkolaków jest coraz mniej. Jeśli wierzyć danym GUS-u, to w roku 2030 będziemy mieli 9,3 mln ludzi w wieku poprodukcyjnym (o połowę więcej niż obecnie) i 21,25 mln ludzi w wieku produkcyjnym.

Ponieważ demoralizującego systemu zasiłków i wcześniejszych emerytur zapewne nikt nie odważy się ruszyć, to za 20 lat aktywność zawodową nadal będzie wykazywać ledwie 50% populacji. Stąd na każdego emeryta przypadać będzie mniej niż jeden pracujący. Oznacza to, że każdy pracownik będzie musiał niemal samodzielnie utrzymać jednego emeryta! Czyli że haracz wpłacany na rachunek ZUS musiałby wzrosnąć z obecnych 30% do mniej więcej 60%.

Ale przecież nikt o zdrowych zmysłach nie będzie płacił 60% „składki na ZUS”, do tego jeszcze przynajmniej 19% podatku dochodowego, 22% VAT-u i pewnie jakieś kilka procent ekstra „ubezpieczenia” na NFZ. Gros zatrudnionych przejdzie wówczas do szarej strefy, wyemigruje z kraju, albo założy działalność gospodarczą w Czechach czy na Litwie. Baza podatkowa zmniejszy się jeszcze bardziej, więc rząd podniesie podatki do 80% i wtedy już absolutnie nikt nie będzie ich płacił. Przy czym wariant zakładający zmniejszenie emerytur w demokratycznym państwie będzie niemożliwy do zrealizowania.

Tutaj też wystarczy prosta arytmetyka: 9,3 mln emerytów plus kilka milionów zatrudnionych na państwowych posadach (mundurowi, urzędnicy, nauczyciele, górnicy itp. wraz z rodzinami) to przecież większy i pewnie bardziej zdyscyplinowany elektorat niż te 12 milionów legalnie pracujących. Łatwiej więc będzie ogłosić niewypłacalność całego państwa niż obciążyć emerytury 10-milionowej rzeszy wyborców. Wówczas na lodzie zostaną inwestorzy trzymający już bezwartościowe „bezpieczne” obligacje skarbowe. Wśród wyrolowanych znajdą się przede wszystkim klienci OFE...

O ile wnioski płynące z analizy prognoz demograficznych są oczywiste, to przedstawiony powyżej scenariusz wcale nie musi się spełnić. Do jego uniknięcia wymagany jest tylko rozsądek i długoterminowa wizja rządzących (dłuższa niż najbliższe wybory prezydenckie, Panie Premierze)

przy racjonalnej i odpowiedzialnej opozycji... Jeśli tak jak ja uważacie te wymagania za zbyt wygórowane, to należy zacząć się zastanawiać, jak ratować własny portfel.

Jedno wydaje się pewne: każdą złotówkę wpłaconą na konto ZUS lub OFE należy traktować jako złotówkę definitywnie straconą. Nie można dać się omamić obietnicami, że państwo zafunduje nam jakiegokolwiek emerytury. Na razie emerytalny Titanic wciąż płynie, a jego kapitan twierdzi, że widoczna na horyzoncie góra lodowa jest niegroźna. Niemniej jednak radzę już teraz szukać miejsca w szalupach ratunkowych.

Krzysztof Kolany